Wojna – Poezja – Dyplomacja. Nieznana poetka – Wanda Babińska.



Wanda Babińska

Katarzyna Szrodt *(Montreal)*

Druga wojna światowa burząc istniejący porządek świata, poplątała losy tych którzy przeżyli. Z przeszłości, jak z jaskini Ali Baby, ciągle wyłaniają się opowieści o ludziach wyjątkowych, nietuzinkowych, których życia dopełniają naszą wiedzę o czasie utraconym.

Gdyby została w Polsce, niewątpliwie stałaby się znana w kręgach literackich, tymczasem wojna zastała Wandę Babińską w

Hadze, gdzie jej ojciec, Wacław Babiński był posłem RP w Królestwie Holandii. Bieg wojny uczynił z niej emigrantkę tęskniącą za ojczyzną, której nigdy już miała nie ujrzeć. W „Poemacie wiosennym” wzdycha do polskiej wiosny:

> Jakże ja mam wyrazić i oddać słowami
>
> To uczucie, gdy drzewa szumią pod oknami.
>
> Nie tutaj, ale w kraju.

W wierszu „Mój ojciec” buduje portret ojca, smutnego emigranta:

> Przez całe swe życie marzył, że może kiedyś w końcu
>
> Przyjedzie na stałe do Polski, gdzieś na wsi odpocząć w słońcu.
>
> A teraz, teraz tak długo chodzi po gabinecie
>
> Mój ojciec, który ma oczy najsmutniejsze na świecie.

Urodzona w maju 1917 roku w Warszawie, w rodzinie inteligencko-szlacheckiej herbu Bojcza, Wanda Babińska wychowywana była na damę, kobietę światową, ozdobę elit dyplomatyczno-artystycznych. Po ukończeniu prywatnej szkoły sióstr zakonnych Sacre Coeur pod Poznaniem, w 1935 roku uczęszczała w Cambridge do szkoły panien z dobrych domów – English Finishing School. Była piękną, świadomą swego uroku kobietą. Miała osobowość aktorki reżyserującej życie swoje i innych. Odważna, walcząca o siebie, nieprzewidywalna i nierzadko ekstrawagancka, pasuje bardziej do dzisiejszych czasów. Poezja towarzyszyła jej od wczesnych lat życia. Ojciec i lektury czytane przez niego, ukształtowały w niej romantyczną, patriotyczną duszę. Pisała wiersze z niebywałą łatwością i lekkością, zindywidualizowanym językiem tworząc swój pamiętnik poetycki. W wierszach miłosnych, nastrojem i metaforyką czerpiących z poetyki młodopolskiej, opisywała emocjonalne wzloty i cierpienia. Wiersze patriotyczne, które pojawiły się po wybuchu wojny, przepojone miłością do ojczyzny, odwołują się do symboliki historycznej, tchną duchem romantyzmu.

> Granatów pękających huk i poświst spadającej bomby.
>
> Słyszysz li bracie złoty róg, czy grzmienie jerychońskiej trąby?

> Szumi ci w uszach – za Lwów, za Lwów – padasz w szeregu wśród Anglików.
>
> Nie żal ci życia, żal Ci snów, co pogrzebane są w Narwiku.

Dorobek poetycki Wandy Babińskiej nigdy nie został opublikowany. Gdy zmarła w Rzymie, w 1993 roku, walizka z jej dokumentami, zdjęciami, wycinkami z gazet i wierszami zapisanymi na pożółkłych kartkach, trafiła do Montrealu, do jej bratowej, Haliny Babińskiej. Od tej pory Wanda nie dawała spokoju Halinie. Była obecna w jej wspomnieniach, przypominała się przy różnych okazjach, opowieści o Wandzie i jej szaleństwach ubarwiały rozmowy towarzyskie toczone przy okazji spotkań w salonie Haliny. Młoda, piękna, żyjąca na nieustannie zmiennej amplitudzie emocji, zaręczała się i zrywała zaręczyny, wychodziła za mąż, by po kilku miesiącach uciec od męża, zakochiwała się nieustannie i opisywała ten stan w wierszach:

> Wszystko we mnie gra i śpiewa
>
> A za oknem kwitną drzewa
>
> Złotym blaskiem słońce pieści pomarańcze.

> Nocą niebo jest iskrzące i mrugają gwiazd tysiące.
>
> A na wodzie srebrny promień lekko tańczy.
>
> Cały świat się zgubił w dźwiękach – na klawiszach Twoja ręka.
>
> Miłość Ciebie na mych oczach położyła.
>
> Co mam robić z tą przeklętą – taką złą, a taką świętą?

W 1940 roku, dwudziestotrzyletnia Wanda przypłynęła polskim transatlantykiem „Batory" do Kanady. Bezdomna, jak wszyscy rozbitkowie wojenni, powoli i dzielnie zaczęła budować swoje nowe życie. Podjęła współpracę z prasą polską na wychodźstwie, publikując patriotyczne wiersze w londyńskim „Dzienniku Polskim" i „Tygodniku Polskim" w Nowym Jorku. Zaczęła pisać do gazet kanadyjskich: „Canadian Life" i „Monitor", w którym miała swoją rubrykę „Wondering with Wanda". W okresie, gdy mieszkała w Toronto, prowadziła swój program radiowy w radiu polonijnym. W Montrealu, w którym mieszkała najdłużej, przygotowywała bale, recytowała na akademiach patriotycznych, udzielała się w artystycznym i towarzyskim życiu polskim i kanadyjskim. W smutkach życia pocieszały ją wiersze:

> Rozdawaj uśmiech niby kwiat wśród życia smutnej drogi.
>
> A piękny wyda Ci się świat. Rozdawaj uśmiech niby kwiat.

Lata 40. i 50. to czas intensywnej, dojrzałej ekspresji poetyckiej. O ile wiersze miłosne pisane były do szuflady, to niektóre wiersze patriotyczne, wysłane do polskich gazet, przyniosły jej pochwały i zachwyty Kazimierza Wierzyńskiego i Jana Lechonia. Ten ostatni pasował ją na poetkę nazywając „naszą Safoną". W 1963 roku, narzekając na niekończące się zimy kanadyjskie, Wanda opuszcza Kanadę oraz swego drugiego męża. Wyjeżdża do Rzymu i pisze wiersz „Pożegnanie rymów":

> Rymy mojej młodości, rymy me dziecinne
>
> Wyskakujące łatwo z mej zapalonej głowy…
>
> Z wami się dzisiaj żegnam. Tak, jak z przyjacielem
>
> Z którym razem się rośnie, marzy, snuje plany.
>
> Z przyjacielem, któremu zawdzięcza się wiele
>
> Chwil szczęśliwych i bliskich. Który był kochany.

> W codziennym kieracie zajęć związanych z troską o życie tułacze –
>
> Odeszłyście.

Proza życia wyparła poezję, duch poezji, który rodził się w olśnieniu i radości, posmutniał z czasem. W Rzymie Wanda pisze felietony „Piórem kapitolińskiej gęsi” ukazujące się w polonijnej prasie i przeżywa spokojną, słoneczną jesień życia u boku trzeciego męża. Wiersze jej, jak motyle przekłute szpilką, zamknięte w walizce, powoli tracą barwy. Ten pamiętnik poetycki opowiadający o nietuzinkowej kobiecie, jest zarazem portretem osoby niezależnej, która chciała stanowić o sobie, ale trudno jej było się przebić przez stereotypowo wyznaczone role. Wydanie wierszy Wandy Babińskiej dopełniłoby jej życie i wzbogaciłoby literackie dziedzictwo polonii kanadyjskiej.



Przygotowania do spotkania poświęconego Wandzie Babińskiej w Konsulacie Generalnym RP w Montrealu, 6 lutego 2020 r. Od prawej: Halina Babińska (bratowa Wandy Babińskiej), dr Katarzyna Szrodt (prowadząca spotkanie) i aktorka Liliana Komorowska (recytująca wiersze poetki)

Spotkanie z Wisławą Szymborską



Wisława Szymborska, Kraków 1980 r., fot. Forum

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Zjawisko poetyckie Wisławy Szymborskiej nie wywarło na mnie właściwego wrażenia w odpowiednim czasie. Poetka nie jeździła za granicę zbyt chętnie, jej fama trafiła też na moją mniejszą mobilność. Spotkałem ją tylko raz w Krakowie, bodaj w 1991 roku, kiedy wstąpiłem do redakcji „Tygodnika Powszechnego" na ul. Wiślną.

Tam zastałem redaktora Jerzego Turowicza w towarzystwie poetki, która akurat wróciła z Niemiec z prestiżową

nagrodą Goethego. Wręczyłem jej wtedy emaliowany znaczek w formie kanadyjskiej flagi, który przyjęła.

Kiedy kilka lat później dostała nagrodę Nobla, przełożyłem dwa jej słynne wiersze na język hiszpański i zamieściłem w „El Universal", dawnym piśmie innego noblisty, Garcii Márqueza, w Cartagenie de Indias w Kolumbii, gdzie akurat bawiłem. Redakcja wydrukowała moje przekłady i dodała artykuł o Szymborskiej wraz z fotografią. Wysłałem Wisławie wycinki do Polski, a ona podziękowała mi na kartce z ryżym kotem, która dziś zdobi moje archiwum na Uniwersytecie Rzeszowskim.

Doczekałem się także jej dowcipnego, krótkiego omówienia mojego przekładu hiszpańskiego opowiadania „Historia Abindarraeza i pięknej Haryfy". Recenzentce widać bardziej by się podobała transkrypcja imienia bohaterki jako „Charifa", ale zauważyła, że Arabki częściej wolą pisać „Harifa". Szymborska wychwyciła niezręczność anonimowego autora noweli każącego bohaterce nie zauważyć ran ukochanego i konkludowała, że:

> bidula nie może nawet marzyć o światowej karierze miłośnicy, jaką zrobiła np. Izolda. Kto jak kto, ale Izolda już z odległości stu metrów zauważyłaby, że coś z jej Tristanem nie jest w porządku.

Myślą gonię do Macierzy

Irena Duchowska *(Wilno)*



Ma Ojczyzna

Ma Ojczyzna,

to –

krzyże przy drodze,

gniazda bocianie,

łany zbóż złocistych,

wierzby płaczące,

białe lilie w jeziorach,

lasy bogate w jagody i grzyby,

tęcza w deszczu srebrzystym,

stada żurawi na niebie,

kolorowe drzewa jesienią,

zaspy śnieżne zimą,

wieże kościołów wileńskich,

rodzina i bliscy,

swojska mowa…

Sny

Do swej wileńskiej

Ojczyzny

wracam w snach.

Widzę ojca na pasiece

otoczonego

głośnym rojem pszczół,

czuję aromat

kręconego w ogromnej centryfudze miodu,

niezapomniany zapach siana

w sadzie.

Przed domem

widzę mamusię

ścinającą kwiaty

dla księdza

do kościoła

rodzinnego gniazda,

źródła energii…

Tam dla mnie:

płakały brzozy,

obiecały zakwitnąć paprocie,

szumiał gaj za wygonem,

na kępie czerniały jagody,

okalały polankę poziomki,

lipy chroniły sad,

sadzawka lśniła od słońca,

skrzypiał żuraw przy studni,

wiosną klon dawał swój sok,

odurzająco pachniał jaśmin i bez,

za sadem, na Jana,

dzieliły swe grona kwiecia akacji,

brzęczały pszczoły z pasieki,

fruwał bociek nad łąką,

jeż z rodzinką mieszkał pod płotem,

mruczał kot tuląc się do nogi,

łasił się pies skowycząc radośnie…

Tam dla mnie

zawsze był ciepły kąt…

Już nigdzie

Już nigdzie więcej

nie będzie mi tak błogo,

jak w skromnym, rodzimym domu

na Wileńszczyźnie…

Już nigdzie więcej

nie zakwitnie mi morze kwiecia,

nie będzie takiej altanki

z dumnych georginii,

ani alei z tęczowych róż,

klombu mięty

przeplatanej pyszną konwalią,

bratków na wietrze

przypominających fruwających motyli…

Już nigdzie więcej

nie ujrzę nieba

utkanego z niezapominajek…

Już nigdzie więcej

nie odurzy mię tak silnie

zapach siana…

Już nigdzie więcej

nie będzie mi tak błogo!

Tęsknota

Goniona tęsknotą

wracam w rodzinne strony,

do źródła gejzerów ciepła,

którym kiedyś tchnął każdy kąt,

pod rozpostartymi

ramionami krzyża,

składam brzemię swych trosk,

by móc dalej iść…

Nostalgia

Uziemiona w centrum Litwy

Myślą gonię do Macierzy.

Stale muszę staczać bitwy,

Któż nostalgię moją zmierzy?

Trzeba walczyć o szacunek,

Orła dumnie w duszy nieść,

Dbać o Polski wizerunek,

Sercu Syna oddać cześć!

I jak żołnierz stać na warcie

Bez strachu szkody karierze,

Polskości broniąc zażarcie

Los mój Panu powierzę.



Irena Duchowska

Irena Duchowska (ur. 24 lipca 1955 w Słomiance) – urodzona i mieszkająca na Litwie polska poetka, pedagog, działaczka społeczna, wielokrotnie nagradzana za krzewienie języka oraz kultury polskiej na Litwie. Uhonorowana Srebrnym Krzyżem Zasługi RP za wybitne zasługi w propagowaniu kultury polskiej. (Wikipedia)

Dom na wzgórzu



Kira Banasińska, ok. 1930 r., fot. (w:) Małgorzata Reinhard-Chlanda, Kira Banasińska – Seventy Years in India. From Diplomacy to Kaybee, Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie i Polski Instytut Studiów nad Sztuką Świata w Warszawie

Ryszard Sawicki *(Namysłów)*

Wzgórze nad pałacem gubernatora nie było wysokie, lecz rozciągał się stamtąd rozległy widok Hydarabadu. Widać też było całe jezioro leżące tuż za miastem. Kiedy ściany niskich domostw w ubogich przedmieściach sąsiadujących z jeziorem oświetlało jaskrawe indyjskie słońce, tafla jeziora ciemniała jak głębokie zwierciadło, w którym odbijały się chmury, lub jaśniała, zależnie od tego skąd padały promienie słońca. Lśniąca powierzchnia wody kontrastowała z matowymi ścianami zabudowań. Także i korony drzew, rosnących przy niektórych ulicach, w ogrodach i

na skwerach, były matowe, bo przed nadejściem monsunu pokrywał je szaro-brunatny pył. W okresie, gdy przychodziła pora rozrostu wodnych lilii, jezioro znikało niemal zupełnie pod liśćmi. Jednego dnia zauważyć można było tworzące się na powierzchni wyspy, na drugi dzień jeziora już nie było widać, przyrost roślin był błyskawiczny.

Widok Hydarabadu ze wzgórza nad miastem zapamiętałem wyraźnie, chociaż nie rozpoznałbym żadnych ulic ani placów. Pamiętam też dom na szczycie wzgórza, w którym byłem gościem. Mieszkały w nim dwie stare kobiety, jedna z córek byłego nizama Hyderabadu i jej przyjaciółka, **Kira Ćwirko-Godycka**, po mężu **Banasińska**, ciotka mojej znajomej **Aleksandry Dolly Korewy**. Dolly przyjechała do Indii wcześniej niż ja, spotkaliśmy się na wiosnę 1977 roku u znajomych mego stryja, państwa Dowgiałłów, którzy mieszkali wtedy w New Delhi. Mieszkając dość długo u swej ciotki, Dolly przeglądała stare archiwum z okresu drugiej wojny, robiła notatki by potem, po powrocie do Europy napisać artykuł. W drodze powrotnej do Warszawy została jednak okradziona jeszcze w Pakistanie, podczas zamieszek jakie wybuchły po śmierci Ali Bhutto. Razem z bagażem i wszystkimi rzeczami osobistymi, przepadły jej notatki i moje filmy ze zdjęciami ze Wschodniej Turcji, Iranu, Afganistanu, Indii i Pakistanu, które dałem Dolly z prośbą o wywołanie w Europie (ja nie zamierzałem wracać do Polski, chciałem zostać dłużej w Azji, potem wybierałem się do

Australii). Artykuł nie został nigdy napisany.

Od mojego pobytu w willi nad pałacem gubernatora upłynęło ponad dwadzieścia lat. Niedawno we Wrocławiu oglądałem u Julity Korewy zdjęcia Pani Kiry zarówno z okresu indyjskiego jak i wcześniejszych lat spędzonych przez nią i jej męża w Japonii. Czytałem też kilka listów, które napisała do rodziny. Zobaczyłem jeszcze raz, wywołaną z pamięci, postać starszej pani jak machała na pożegnanie ręką z podjazdu przed domem, kiedy w drodze na stację kolejową zjeżdżałem starym samochodem prowadzonym przez jej kierowcę po nieco wyboistej, nie wybrukowanej, ani nie pokrytej asfaltem ulicy, prowadzącej w dół do miasta.

Na zdjęciach, które Julita wydobyła z pudełka w swoim wrocławskim mieszkaniu, pani Kira wygląda inaczej niż ją zapamiętałem. Jest młodą, piękną kobietą cieszącą się pełnią życia. Pojawia się przy chińskiej bramie słońca, siedzi w wygodnym płóciennym fotelu ustawionym na pokładzie jachtu płynącego po azjatyckiej zatoce. Z mężem-dyplomatą siedzą obydwoje w japońskim ogrodzie. Zdjęcia nie są opisane dokładnie, nie wiadomo więc w jakim parku ani na jakim jachcie zostały zrobione. Z listów do rodziny nie można wyłowić ani dat, ani nazw. Przeglądając wspomnienia przyjaciela rodziny Banasińskich, **Wacława Jędrzejewicza**, nestora polskiej irredenty, dyplomaty i badacza najnowszej historii Polski, też nie

zdołałem znaleźć dokładniejszych danych. Za to znalazłem na kartach jego wspomnień wiele ciepłych słów o pani Kirze, które opisują ją taką jaka była w czasie pobytu w Japonii.

W rozdziale zatytułowanym „Pierwsze miesiące” (chodzi o początki pracy w polskim poselstwie w Tokyo), Jędrzejewicz wymienia pracowników poselstwa, także doktora Eugeniusza Banasińskiego, który „prowadził sprawy finansowe i konsularne poselstwa oraz opracowywał zagadnienia ekonomiczne”. Mówi, że doktor Banasiński „był żonaty z Kirą Ćwirko-Godycką, którą poznał w Harbinie, gdzie zamieszkiwała jej matka”, i że „mieli córkę Lilkę”. O samym Eugeniuszu wspomina iż „był to człowiek bardzo inteligentny, miły i łatwy w obejściu, dobrze znający teren”. Jędrzejewicz ułatwił Banasińskiemu wejście do regularnej służby zagranicznej.

W rozdziale zatytułowanym „Mandżuria”, Jędrzejewicz napisał, że Kirę Banasińską poznał jeszcze w Harbinie, gdzie

> obie z matką zorganizowały bardzo piękne przyjęcie” dla niego, jako podróżującego polskiego dyplomaty. Rozdział pod tytułem „Jesień – zima 1925 – 1926” zaczyna się od zdania: „po parotygodniowym pobycie w Harbinie wyjechaliśmy z panią Banasińską i Lilką kolejką do Dairenu, po czym statkiem do Kobe i znowu koleją do Tokyo, gdzie oczekiwało

> mnie wiele pracy przy zorganizowaniu biura attaszatu.

Rozdział zatytułowany „Kierownictwo poselstwa w Tokyo” zawiera znów kilka zdań o pani Kirze w związku z napadem na biuro attache wojskowego Sowietów w Pekinie, które przeprowadził marszałek Czang-tso-lin. Zabrano tam stosy rosyjskich dokumentów, a Jędrzejewicz był jedynym cudzoziemcem, którego rząd japoński powiadomił o tym i w wielkiej tajemnicy wręczył fotokopie paruset z nich celem ich przefotografowania dla użytku polskiego sztabu generalnego. Pomagała mu w fotografowaniu dokumentów pani Kira.

> Miałęm bardzo dobry aparat fotograficzny – pisze Jędrzejewicz – toteż przy pomocy Kiry Banasińskiej przez wiele nocy fotografowaliśmy dokumenty w poselstwie i niezwłocznie wywoływaliśmy klisze w prowizorycznej ciemni. Było to w lecie, w upalne noce. Bardzo męczyliśmy się nad tą pracą – dodaje Jędrzejewicz.

W rozdziale o trzęsieniach ziemi, Jędrzejewicz też wspomina Kirę. Któregoś dnia, gdy mieszkał razem z Banasińskimi w Hajama, nad morzem, ich japoński domek zatrząsł się tak,

> że w jednej chwili znaleźliśmy się na zewnątrz, każdy jak stał, a Kira Banasińska, która właśnie brała kąpiel, wyskoczyła z wanny jak ją Bóg stworzył.

Ostatni raz pojawia się pani Kira we wspomnieniach Jędrzejewicza z roku 1928. W związku z odwołaniem Jędrzewicza do Warszawy, jego następca, major dyplomowany Henryk Floryan-Rajchman żegnał go na dworcu w Tokyo. „Rajchman i Kira Banasińska odprowadzili mnie do następnej większej stacji". Nie wiem, czy Jędrzejewicz bywał w czasie wojny i po jej zakończeniu u państwa Banasińskich w Bombaju. Wiem tylko od niego, że pisywali do siebie listy. Odnaleźć je było by dziś trudno. Dlatego listy do rodziny są jednymi z nielicznych dowodów ich barwnego życia. Szkoda, że przez wiele lat pani Kira nie mogła kontaktować się z rodziną w Polsce, może byłoby dziś więcej takich listów jak ten, adresowany do Onufrego Korewy, z datą 20 stycznia 1965 roku.

> Kochany Onusiu! Nie zdajesz sobie sprawy jak bardzo ucieszył mnie Twój list. Znalazłam go na podłodze w biurze, gdyż był podsunięty pod drzwi przez listonosza po godzinach pracy i wprost nie mogłam sobie uprzytomnić, że to istotnie list od Ciebie. Tyle lat upłynęło od czasu gdyśmy się widzieli po raz ostatni, tyle zmian i w Waszym życiu i moim. Ciekawa

jestem jakimi drogami natrafiliście na mnie – przypuszczać tylko mogę, że przez „Cyriakę”, gdyż żadnej innej prócz mnie dotychczas nie spotkałam. Musimy się znowu zapoznać i przerzucić most przez tę olbrzymią przepaść lat. O ile sobie przypominam, od pewnego czasu Ojciec był z Wami w kontakcie, więc chyba pewne szczegóły z mego życia były dla Was znane – jednakże zacznę od Harbina bo to było bezpośrednio po wyjeździe od Was. W Harbinie wyszłam za mąż, tam urodziła się nasza córka, Lygia Janina. Od dwudziestego szóstego do trzydziestego pierwszego roku byliśmy w Japonii, gdzie mąż mój był kierownikiem Wydziału Konsularnego przy Poselstwie w Tokio. Stamtąd wróciliśmy do Warszawy i w trzydziestym trzecim roku mąż był mianowany konsulem, później konsulem generalnym na Indie. Lygia skończyła szkołę w Bombaju i mając siedemnaście lat wyszła za mąż za Anglika. Ich często przerzucają z miejsca na miejsce, lecz obecnie są w Londynie. Syn ich, Jocelyn Seweryn wkrótce kończy Cambridge. Jest bardzo przystojny, inteligentny, wesoły i miły. Po polsku nie mówi. W trzydziestym ósmym byłam w Kraju, widziałam wtedy Ojca po raz ostatni. Wiecie zapewne, że umarł w grudniu czterdziestego roku. Dowiedziałam się o tem dopiero po powrocie do Indii po zakończeniu wojny z listu p. Juszkiewiczowej, który dotarł do mnie z kilkuletnim opóźnieniem. Podczas wojny starałam się go odszukać, pisałam przez Szwajcarski Czerwony Krzyż i inne

organizacje, lecz wszystko było bezskuteczne. Byliśmy w Indiach do końca czterdziestego czwartego roku. W okresie wojny, jako delegat Polskiego Czerwonego Krzyża na Indie oraz delegat Polskiego Ministerstwa Opieki Społecznej, prowadziłam wszystkie sprawy azylu i osiedli naszych uchodźców w Indiach oraz obozów przejściowych w Karachi, jak również sprawy zaopatrzenia transportów do Afryki i innych krajów, gdzie ich przerzucano. Pod koniec czterdziestego czwartego roku wyjechaliśmy do Londynu gdzie mąż dostał przydział do MSZ, ale już się wszystko kończyło. Dlatego wróciliśmy po roku do Indii, gdzie mieliśmy wielu przyjaciół. Po kilku latach, nie wiem w jaki sposób, wpadłam na pomysł zapoczątkowania warsztatu wyrobów z drzewa dla szkół. Z biegiem lat zaczął się mój warsztat rozwijać, tak, że obecnie mam kompletnie zmechanizowaną fabrykę pomocy szkolnych dla dzieci od dwóch do sześciu lat. Mam przeszło siedemdziesięciu robotników. Fabryka idzie nieźle ze względu na olbrzymi rozwój szkolnictwa w Indiach. Ostatnio moje wyroby znalazły zbyt też w Ameryce. Jednakże prowadzenie tego wszystkiego nie jest rzeczą łatwą odkąd jestem zupełnie sama. Za życia męża, on prowadził biuro, ja fabrykę, lecz po jego śmierci wszystko spadło na mnie. Ani Lygia ani jej mąż ani nawet ich syn nie mają zamiaru tutaj się instalować. Mąż Lygii jest w wojsku i jak na swój wiek w dość wysokiej randze. Ma przed sobą jeszcze dobrych parę lat czynnej służby. Jeśli miałabym

określić jednym zdaniem jak żyję, to powiedziałabym, że żyję jak robot. Jestem w pracy od siódmej rano do późnej nocy. Wstaję o szóstej, a wracam do domu dopiero około dziesiątej, szalenie zmęczona. Najczęściej zasypiam w fotelu i dopiero służący budzi mnie do obiadu. Po obiedzie znów coś załatwiam. W ogóle nie rozstaję się z teczką. Różne akta i papierki jeżdżą ze mną stale tam i z powrotem, aż znajdę dość czasu i sił aby je pozałatwiać. Jestem tak uwięziona sprawami fabryki, że chyba nigdy nie będę mogła wydostać się z Indii. Ponieważ jednak praca ta, a szczególnie jej wyniki dają mi wielką satysfakcję, nie tyle finansową co moralną, dzieci radzą mi abym tu pozostała tak długo aż mi się to wszystko znudzi i wtedy dopiero przerzucić się do Anglii aby na stare lata być gdzieś niedaleko od nich.

Mam tutaj niewielkie mieszkanie w mieście, które odziedziczyłam po matce. Zmarła ona w Bombaju w sześćdziesiątym pierwszym roku. Poza tym mam bardzo przyjemny domek z liści palmowych nad morzem w Juhu. Jadę tam zazwyczaj w sobotę wieczorem i w poniedziałek rano wracam wprost do fabryki. W Juhu niby odpoczywam, lecz to raczej teoretycznie. W praktyce wygląda to całkiem inaczej, gdyż właśnie w niedzielę odwiedzają mnie moi przyjaciele, którzy przyjeżdżają tam aby się wykąpać w morzu i pooddychać świeżym powietrzem. Gospodarstwo w tych moich dwu pied-a terre’ach idzie jakoś samo, bez

większego zachodu z mojej strony, gdyż i w Bombaju i w Juhu od wielu lat mam tę samą służbę.

Wszyscy, zarówno wy jak i ja, jesteśmy mniej więcej w jednym wieku, przypuszczam więc, że mamy te same dolegliwości. Jeśli chodzi o mnie, na ogół czuję się jednak nieźle, ale czasem coś tam zaczyna dolegać. Naturalnie, że z sercem wszystko nie jest w porządku, ale jakoś się trzymam, daję sobie radę ze wszystkim i pracuję za trzech.

Chciałabym bardzo wiedzieć jakie były koleje losów Waszej Rodziny. Wspominasz w liście Tadziów, Kletów, Jadzię… Czy ktokolwiek z nich ma dzieci, wnuków? Napisz koniecznie, czy Ty również masz żonę, dzieci. Proszę wszystkich ode mnie uściskać.

Ściskam Ciebie i całuję serdecznie, Kira.

Ślę też wiele dobrych życzeń na sześćdziesiąty piąty rok dla całej Waszej Rodziny.

List był opatrzony adresem zwrotnym: 12 Gunbow Street, Fort, Bombay 1. Ani zdjęcia domu w forcie ani z Juhu Beach nie dotarły do Julity Korewy do Wrocławia. „Cyriaka” to oficjalne, pełne imię pani Kiry. Zwrot „bezpośrednio po wyjeździe od Was”

dotyczy pobytu pani Kiry w domu dziadka Julity Korewy, Ignacego, który był zarządcą kopalni azbestu i szmaragdów na Uralu albo w domu brata Ignacego w Irkucku, który był inżynierem kolejowym zatrudnianym przy budowie kolei koło Bajkału i kolei transsyberyjskiej. To „ostatnie spotkanie" miało miejsce w 1916 roku.

Na zdjęciu z wnętrza magazynu fabrycznego pani Kira stoi przy półkach wypełnionych drewnianymi klockami, zwierzętami i obrazkami. Rozmawia z jednym ze swych pracowników. Może był to kierownik magazynu, a może dyrektor fabryki, którego pani Kira zatrudniła po usilnych namowach przyjaciela rodziny, przemysłowca i filantropa pochodzenia perskiego o nazwisku Tata (samochody ciężarowe z jego nazwiskiem można i dziś zobaczyć na wszystkich drogach Indii). Była to dla niej trudna decyzja, bo choć nawał pracy męczył, to jednak „dawał satysfakcję moralną".

Pani Kira skarży się na problemy z fabryką także w liście z 19 grudnia 1974 roku (list był wysłany z Hyderabadu, gdzie zamieszkała po opuszczeniu Bombaju).

> Kochany Onusiu!
>
> Parę dni temu dostałąm list od Dolly, cóż to za miła

> niespodzianka. Jak tylko znajdę wolną chwilę – odpiszę. Na razie proszę ją serdecznie uściskać i przekazać jej moje najlepsze życzenia świąteczne. Jestem tak niesamowicie zajęta, że po powrocie do domu nawet do córki nie mam sił napisać. Pięć miesięcy temu zostałam prababką. Mój wnuk Jocelyn był przez pięć lat w Bangkoku i tam się ożenił z Thajką. Właśnie urodził się im syn, któremu dali na imię Thomas. Są teraz w Londynie, a ja już teraz zostałam całkiem sama w Indiach. Żebyś wiedział jakie niesamowite kłopoty mam z fabryką i jak trudno jest pracować w przemyśle wybaczyłbyś mi tak długie milczenie. Ślę moc najserdeczniejszych życzeń noworocznych dla Ciebie, Julity i Twoich najbliższych.
>
> P.S. Przypomniałam sobie, że był tu rok temu profesor Urbański. Czy to jest jakiś krewny Dolly? Jest teraz w Polsce. Gdybyś go spotkał to mógłby opowiedzieć o mnie gdyż był u mnie parę razy na obiedzie. Wrócił również do Warszawy po pięciu latach spędzonych w Hyderabadzie doktor Z. Zieliński. Był tu szefem misji International Labour Organisation. Zgubiłam jego adres lecz mógłbyś go odnaleźć przez biuro adresowe. On i jego żona Janka często bywali u mnie w fabryce. Ściskam, Kira.

Do natłoku problemów, które wymagały natychmiastowego

rozwiązania pani Kira przyzwyczaiła się w okresie wojennym. Organizacja i prowadzenie obozów dla uchodźców były zadaniami trudniejszymi niż prowadzenie fabryki. Osiedla i obozy, które powstały w Karachi, a potem w innych miejscowościach przyjęły wielu uchodźców z Sowieckich łagrów, między innymi czwórkę moich kuzynów. Kobiety i dzieci, które wydostały się z „nieludzkiej ziemi" z wojskiem generała Andersa nie mogły podążać do Europy wojennym szlakiem armii. Nim zagłodzone i schorowane zdolne byłyby przetrwać dalszą podróż, musiały nabrać sił jeszcze w Azji. Pani Kira i jej hinduscy oraz brytyjscy przyjaciele zapewnili im godziwe warunki bytu. O jednym z takich osiedli pisał Stanisław Wujastyk w *Sunday Standard* wydawanym w Bombaju (numer z jedenastego listopada 1979 roku). Artykuł był też opublikowany w języku polskim w 1778 numerze londyńskich „Wiadomości" (27 kwietnia 1980).

> Dadu Lokhande, Maruti Bhosle i Sadku Gavalt są prostymi ludźmi z przydrożnej wioski Gandhinagar, leżącej pięć kilometrów od Kolhapur. Nic ich nie wyróżnia od reszty zwyczajnych ludzi z tych stron – pisał Wujastyk. Gdyby jednak zawitał do tej wioski przybysz z Polski, mógłby się porozumieć z tymi ludźmi w swoim ojczystym języku. Rozmawiali oni czasem w języku tego odległego kraju, a nie znali nawet angielskiego, który w Indiach jest dość

> powszechnie używanym, zwłaszcza w miastach, „drugim językiem”.

Nauczyli się polskiego w okresie drugiej wojny światowej, „gdy Brytyjczycy utworzyli w 1943 roku jedno z polskich osiedli”, wyjaśnił Wujastyk.

Maharadża Chhatrapati Shahdżi i maharani Toprani, władcy niezależnego wówczas księstwa Kolhapur, pomogli wybudować obóz w Valivade i nazwę miejscowości przemieniono wtedy na Gandhinagar. Obóz, który znajdował się pod administracją brytyjską, liczył pięć tysięcy osób. Polacy sami jednak zarządzali swoimi sprawami pod kierownictwem niejakiego kapitana Grebenka (?). Tworzyli własną samopomoc, sklepy, restauracje, szkoły i boiska sportowe. Obóz dawał też zatrudnienie miejscowej ludności. Był wzorem czystości i dobrej organizacji. Valivade zyskało na znaczeniu do tego stopnia, że otwarto tam stację kolejową Polish Colony Station. Osiedle zostało zamknięte dopiero w 1948 roku. Polacy rozjechali się do różnych krajów Europy (moi kuzyni osiedlili się w Anglii), Ameryki, Afryki i Australii. W 1975 roku na pobliskich terenach gimnazjum Św. Ksawerego umieszczono tablicę pamiątkową z napisem w języku marathi, angielskim i polskim:

> Pamięci siedemdziesięciu Polaków, którzy w drodze

> powrotnej do swych domów w Ojczyźnie zmarli na ziemi Indii w latach 1943-1948, Valivade, Kolhapur.

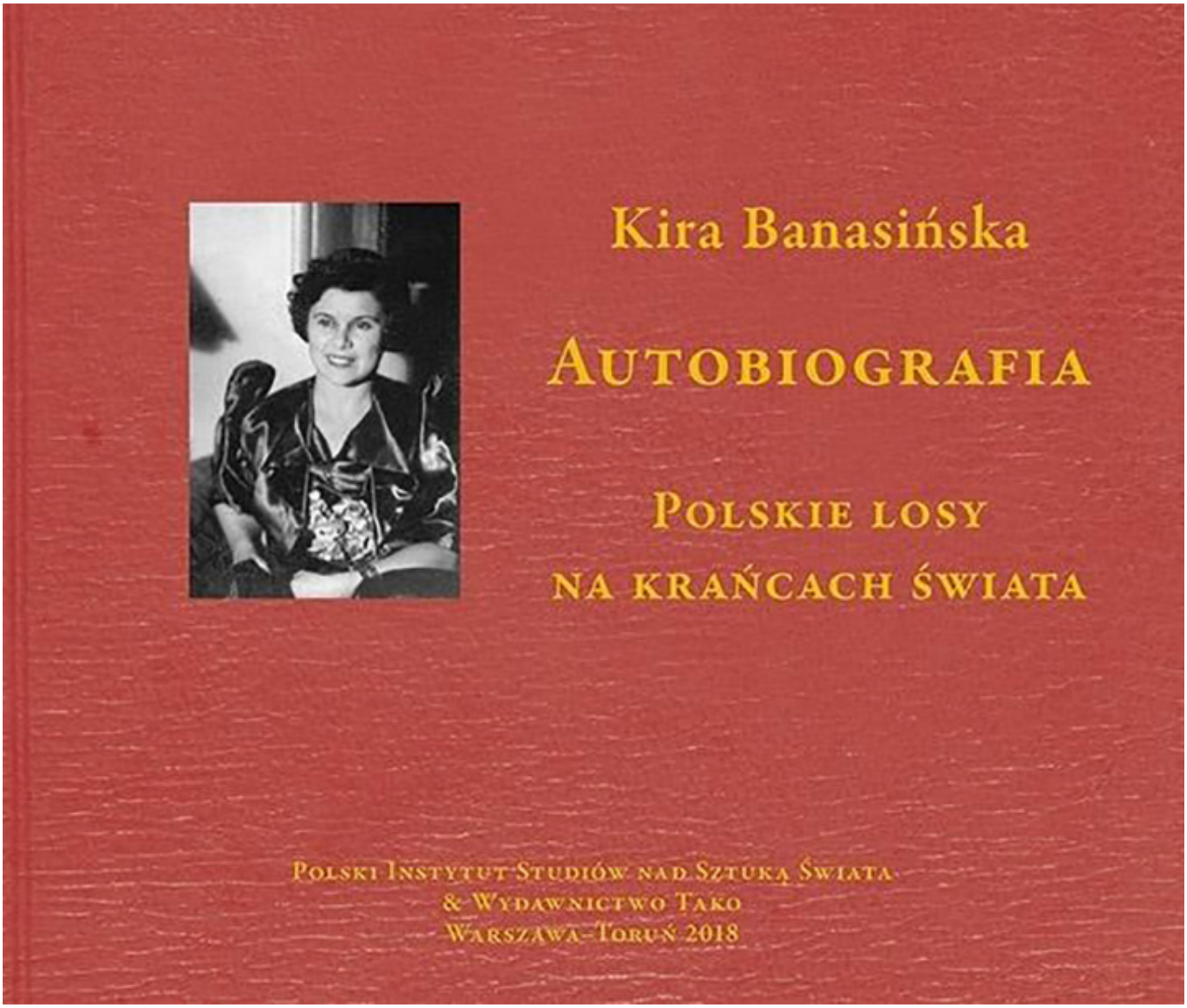
Polacy zostali pochowani na lokalnym cmentarzu, który jest pod opieką rzymsko-katolickiego i anglikańskiego kościoła. Tę informację znalazłem we własnym archiwum.

W rodzinnym archiwum Julity Korewy nie ma zdjęcia domu pani Kiry w Hyderabadzie. Moje filmy z Azji zostały ukradzione jeszcze przed wywołaniem, jak wspominałem, w czasie podróży Dolly przez Pakistan. Brakuje też zdjęcia z Juhu Beach. Nie widziałem wprawdzie tego domu „krytego liśćmi palmowymi", ale wyobrażam sobie, że nie mogła to być jedynie skromna chata podobna do tych „krytych strzechą", budowanych w Środkowej Europie. Bywałem w Juhu Beach u znajomych. Pamiętam tę plażę i przyległe rejony położone na północ od Mahim Bay jako ekskluzywne dzielnice. Był tam elitarny klub podobny do żeglarskich klubów opisywanych przez Józefa Konrada Korzeniowskiego.

Zapewne w pamiętniku Pani Kiry, którego fragmenty cytowane były na łamach „Rzeczypospolitej" (29. 07. 00, nr 176) znaleźć by można dokładniejszy opis każdego z domów państwa Banasińskich. Podczas moich rozmów z panią Kirą, twierdziła, że napisze pamiętnik „kiedy się postarzeje". Wydawało mi się

wówczas, że nie nastąpi to nigdy. Na zdjęciu zamieszczonym przez „Rzeczpospolitą” pani Kira wygląda zupełnie inaczej niż na zdjęciach z archiwum Julity Korewy. Najbardziej podoba mi się zdjęcie z pokładu jachtu sunącego po łagodnych falach jakiejś zatoki. Pani Kira uśmiecha się młodzieńczym uśmiechem. Ma ręce założone pod głowę. Ubrana jest w białą sukienkę z krótkimi rękawami. Na nogach ma sandały z grubą plecioną podeszwą, takie jakie widuje się i dziś w sklepach japońskich. Wygląda tak, jak wyobrażam sobie bohaterki powieści Conrada.

Kira Banasińska z domu Ćwirko-Godycka, ur. 1899 na Syberii, zm. 25 maja 2002 w Hajdarabadzie. W 2018 r. wyszła jej autobiografia, wydana przez Polski Instytut Studiów nad Sztuka Świata.



O innej polskiej działaczce w Indiach, Wandzie Dynowskiej:

https://www.cultureave.com/gdzie-sie-ganges-toczy/

Szkoła po sąsiedzku



Tak wyglądały kiedyś klasy w szkołach, z tablicą, liczydłem, globusem i ławkami z otworami na kałamarze. Na zdjęciu zrekonstruowana klasa w Szkole Podstawowej w Pakosławiu, fot. ilza.com.pl

Romuald Mieczkowski *(Wilno)*

Pierwszą moją nauczycielką była pani Leparska. Dojeżdżała z miasta. Starsza, korpulentna i bardzo zadbana pani. Zapamiętałem jej broszkę pokaźnych rozmiarów, pierścionki i bransolety na rękach. I manicure na jej paznokciach, które

widziałem po raz pierwszy w życiu. Nosiła duży męski zegarek – chyba złoty. To ona uczyła pierwszych tabliczek mnożenia. Czytać to już umiałem przed pójściem do szkoły. Niedaleko naszego domu, na żwirowni, popisywałem się przed starszymi kolegami, czytając im po raz kolejny pouczającą historię o Janku, co psom szył buty. Po dwóch latach mojej nauki pani Leparska przestała dojeżdżać. Zastąpił ją w 1959 roku Leonas Kurklenas, który wraz z żoną, też nauczycielką , przyjechał do Fabianiszek z głębi Litwy, by nas uczyć polskiego.

Przez cały czas istnienia szkoły była tu pani Teresa Fiodorowicz. Elegancka i bardzo piękna podobno w młodości kobieta. Mówiono, że jej narzeczony zginął w czasie wojny. Ale szczegółów nikt nie znał, tyle tylko, że był w Polskim Wojsku, w partyzantce. W tamtych czasach nie mówiono w AK. Pani Teresa długo nie mogła przeżyć śmierci ukochanego i nigdy nie wyszła za mąż, prowadziła samotny i zamknięty tryb życia. Miała w Wilnie brata, ale zażyłości między nimi nie było. Potem – szeptano – związała się z jakąś sektą. Na starość unikała ludzi: szybko przemykała od przystanku autobusowego do szkoły, gdzie na poddaszu – na salkach – od lat zamieszkiwała. Tak samo, niemal biegiem, udawała się do studni po wodę, czuła zażenowanie, kiedy ją się spotykało, nie pozwalała pomóc sobie i zanieść wiadra.

Wiele czasu poświęcała czytaniu. To ona była u nas jedyną

prenumeratorką w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych takich czasopism, jak „Film” czy „Ekran”. Oczywiście, miała też „Przyjaciółkę”, a potem „Panoramę” – ale te pisma były bardziej znane, niektóre mieliśmy w domu.

Podkradaliśmy się czasem do jej czasopism. Po przeczytaniu pani Teresa składała je w stodole, która jako szkolna, nie dostała się kołchozowi. Choć była zamknięta na kłódkę, to przenikaliśmy z bratem do jej wnętrza przez liczne otwory. Czas spędzony w stodole obfitował w różne przygody. Penetrując jej zakamarki odkrywaliśmy wiele tajemnic, znajdowaliśmy tu czasem ciekawe rzeczy. Raz nawet trochę amunicji pod strzechą, którą wypróbowaliśmy w ognisku… Z czasopism pani Teresy wyrywaliśmy kartki ze słynnymi sportowcami i aktorami. Tu, w dziurawej stodole, z żurnali przebijał wielki świat.

Pani Teresa miała jeszcze jedną pasję, która graniczyła z obsesją. Lubiła czystość na szkolnym podwórku. Nie mogło tam być papierka, najmniejszej gałązeczki czy opadłego liścia, uporczywie walczyła z chwastami. Tego wymagała i od nas, co uważaliśmy za przesadę.

A ogródek był co się zowie! Upiększały go „szczepione” bzy i jaśminy, dzika róża, rosły najprzeróżniejsze kwiatki, w tym rzadkie w naszych stronach. Dróżki przy klombach były wysypane żółtym piaskiem, znaczone kamykami i tłuczoną cegłą,

pobielonymi wapnem kamykami. Musieli też uczniowie pracować w szkolnym ogródku. Każdy miał swoje indywidualne grządki, o czym świadczyła stosowna tabliczka z nazwiskiem. Prócz warzyw najpospolitszych, takich jak marchew czy buraki, rosły tam bób, fasola i groch. W szczególny zachwyt przyprawiała uczniów „czerwona kapusta" i arbuzy.

Jesienią ulubionym miejscem, gdzie się gromadzili uczniowie, była grusza, z drobnymi, ale bardzo smacznymi gruszkami. Jednakże zdobyć je było bardzo trudno – nauczyciele pozwalali zbierać owoce tylko z ziemi. Było tego niewiele – chyba, że rzuciło się w gruszę jakimś kijem, albo dobrze nią potrząsnęło. Trzeba było uważać, bo gdy zobaczył to nauczyciel, jedyny mężczyzna w szkole, to już on wtedy potrząsał uczniem.

Grusza stanowiła fragment przerzedzonego sadu. Rosły tam różne jabłonie od antonówek po rajskie jabłuszka, a także wiśnie, porzeczki, maliny i agrest. Sad, jak i budynek szkolny, przed wojną należał do brata mojego dziadka – Władysława. Jako najbardziej okazały w okolicy, sielsowiet* przeznaczył budynek właśnie na szkołę początkową. Nawet nie był to wariant najgorszy w latach, gdy oczodołami okien straszyły puste domy, zaś wywózki na Sybir, a potem w ramach tzw. repatriacji do Polski, nikogo nie dziwiły. Przez pewien czas ojciec miał pracę przy szkole – ni to stróża, ni to stolarza, taki sobie zawchoz**.

Nasz dom stał obok, więc nauki pobierałem po sąsiedzku.

– Już dzwonek, po przerwie śniadanie skończysz! – wołała matka. Wyruszałem więc przez podwórko prosto do klasy. Na górze właśnie mieszkała pani Teresa, obok niej mieszkanie przydzielono przybyłym Kurklenasom. Kiedy szkołę likwidowano, pani Teresa była w wieku emerytalnym. Jeszcze rzadziej pokazywała się „na ludziach" i jeszcze bardziej zamykała się w sobie. Dziwaczka – z politowaniem pełnym szacunku mówiono o niej. Potem chorowała, przebywała w szpitalu, aż nie wróciła na swe nigdy nieremontowane i przeciekające poddasze.

Dziadek Władysław tylko jeden raz widział swój letniskowy dom (większość czasu spędzał w mieście), oddany pod szkołę, bo tylko raz przyjechał odwiedzić Wilno. Nie ciągnęło go jakoś. Był to człowiek zasługujący oddzielnej książki. Humorystyczno-sensancyjno-dramatycznej. Niedoszły ksiądz (zaliczył dwa lata seminarium), wytrawny esteta, a nade wszystko specjalista od interesów, miał w Wilnie knajpki, niedaleko Gazowni i na Mostowej, młyn i coś tam jeszcze. Potrafił wesoło spędzać czas, lubił w przednim towarzystwie pograć w karty. Ale wiedział z kim i kiedy skończyć – więc nie przegrywał i nieźle mu się w sumie wiodło.

Potem posiadłości zabrali Sowieci, a ich właściciel trafił na Syberię. Ale i tam sobie poradził. Z Syberii udał się wprost do

Polski i osiadł w Szczecinie, w pięknej dzielnicy Pogodno. To od niego dostałem swój pierwszy w życiu wyzow*** i ze Szczecina rozpocząłem pierwszą i pełną przygód podróż dookoła Polski. Dziś dziwię się, jak mogłem objechać pół kraju – głównie autostopem – bez pieniędzy. Wtedy, bardziej niż dziś, wiedziałem, czym może nie być dla mnie Polska.

Dziadek Władysław, szczupły, wręcz drobny mężczyzna, mimo chorowitego w młodości zdrowia, w Szczecinie dożył sędziwego wieku – zmarł mając 102 lata. Miał nadzwyczajną pamięć, nigdy go nie opuszczało wyrafinowane poczucie humoru. Sensacją w latach sześćdziesiątych było zamążpójście za Amerykanina jednej z jego córek, a mojej ciotki, i odpłynięcie własnym jachtem do nowego życia za ocean.

Po latach na zdziczałym skrawku ziemi, gdzie stał dom stryjecznego dziadka, gdzie pozostały też i resztki naszego sadu – jacyś Amerykanie w ostatnich przed rozbiórką domach pytali o Mieczkowskich. Ale zastraszony lud i o przytępionej pierwszymi ciosami przez dziki kapitalizm pamięci – nie mógł doradzić, jak nas odnaleźć. Do głowy mu nie przyszło, iż wystarczyło poszukujących odesłać do byle jakiej polskiej gazety czy organizacji. Ale na taki pomysł młodsze pokolenie byłych sąsiadów nie wpadło. Może dlatego, że to byli goście właśnie z Ameryki.

Przywołując moją pierwszą szkołę, nie mogę nie wspomnieć pewnej staruszki, która wprawdzie nauczycielką nie była, ale bardzo chciała nauczyć mnie francuskiego. Pewnie dlatego mówiła do mnie wyłącznie w tym języku. Otóż w naszym domu znalazła przytułek pani Buterlinowa, z dworu w Zameczku.

Była to zasuszona staruszka, którą wypędzono ze znacjonalizowanego majątku. Miała długi zakręcony kij. Bałem się go najwięcej, ponieważ kiedy byłem niesforny, usiłowała złapać mnie zaokrąglonym końcem owego kija. Pani Buterlinowa miewała zaniki pamięci, wyruszała w nagłe wędrówki i potem trzeba było ją szukać. W czasie jednej z nich zginęła w wypadku samochodowym.

Jej życie i śmierć przywodzi na myśl obecność w naszym domostwie poczciwego psa Wilka. Był to owczarek, którego zostawili cofający się Niemcy. Jakież niezwykle mądre było to stare jednookie psisko! Doskonale rozumiał nas – kiedy, na przykład, rodzina wyruszała do krewnych – biegł pierwszy i naszczekiwał. Był to znak, że niebawem pojawią się Mieczkowscy.

Wilk również odegrał znaczną rolę w moim wychowaniu – pilnował mnie, żebym nie oddalał się za daleko. Miał swoje lata, słabo widział, nie dosłyszał. Pewnego razu został również przejechany przez samochód. Potem mieliśmy wiele psów, ale

żaden nie dorównał inteligencją i wiernością Wilkowi.

_____

* *sielsowiet* (ros.) – rada wiejska

** *zawchoz* (ros. skr.) –odpowiedzialny ds. gospodarczych

*** *wyzow* (ros.) – popularna nazwa oficjalnego zaproszenia, na podstawie którego wydawano zezwolenie na odwiedzenie

---

Schody Hiszpańskie. Opowiadanie

sensybilistyczne.



Schody Hiszpańskie, Rzym, fot, pinterest

Kazimierz Głaz *(Toronto)*

Moja dramatyczna przygoda była dawno temu, kiedy nie było zakazu siedzenia na Schodach Hiszpańskich w Rzymie. Tłumy ludzi. To tam miało miejsce tajemnicze i trudne spotkanie z moim nieznanym synem. Dwudziestoparoletni chłopak podszedł do

mnie i usiadł obok.

– *May I talk to you?* – zapytał po angielsku.

– *Yes, but what about?* – odpowiedziałem.

– *You are probably my father* (jesteś prawdopodobnie moim ojcem) – powiedział łamiącym się głosem.

Podejrzewałem w tym typowe rzymskie naciąganie, o których się wiele słyszało. Miałem w pamięci historię znajomego lekarza z Toronto, który będąc w Rzymie miał dziwną przygodę. Na głównej ulicy podszedł do niego starszy, dobrze ubrany człowiek, ukląkł przed nim na oba kolana i zaczął potrząsać jego rękami recytując głośno coś po włosku, czego ani mój znajomy, ani jego żona, nie rozumieli. Zszokowani stali zdziwieni czekając na zakończenie. Modlący się uścisnął mu raz jeszcze ręce, jakby na pożegnanie, wsiadł na podjeżdżający skuter i odjechał. Wyglądało to jak modlitwa, ale okazało się po chwili, że złoty zegarek lekarza, warty wówczas pewnie ze 2o tysięcy dolarów zniknął z jego ręki. Takie i temu podobne opowieści krążyły wśród turystów.

Toteż spokojnie, ale stanowczo, kazałem mojemu młodemu rozmówcy odejść. Pamiętam dobrze jak wyglądał. Był wysoki, dobrze zbudowanu, ale jakby nieco nieśmiały. Ociągał się. Zszedł na dół do jakiejś kobiety. Kiedy wstała popatrzyli oboje na mnie. Zabierali jakieś torby z zakupami z Via Fratina, znanej ulicy mody. Oddalony jakieś 30 stopni i oddzielony tłumem ludzi nie rozpoznałem jej. Po dobrej chwili, kiedy zaczęli schodzić zacząłem sobie przypominać moją ostatnią dziewczynę we

Wrocławiu. Zbiegłem na dół. Szukalem. Zniknęli w tłumie turystów.

Była studentką medycyny. Na moje obawy mówiła, że ona zna się na tym dobrze, ale któregoś dnia powiedziała, że jest w ciąży. Zakazałem przerywania . Prosiłem, Mieliśmy ustalić nasze stanowisko później. Jednak ja wyjechałem niespodziewanie do Paryża i kiedy wróciłem po roku, ona wyjechała z Polski. Nie mieliśmy wspólnych znajomych i tak urwał się kontakt, bardzo osobisty.

Po latach władze rzymskie zakazały siedzenia na schodach, żeby zabezpieczyć marmury. Dlatego te schody są od tamtego czasu tak mocno związane z moją pamięcią.

Toronto, listopad 2019 r.

Spotkanie

z Kazimierzem Wierzyńskim



Kazimierz Wierzyński, 1928 r.

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Kazimierza Wierzyńskiego (1894-1969) pamiętam jako bożyszcze eleganckiej publiczności witanej owacyjnie w londyńskim

Ognisku, kiedy przyjeżdżał ze Stanów Zjednoczonych. Wzruszył mnie jego kufer „blachą okuty”, w którym były:

> Cała moja ojczyzna,
>
> Paszporty, obywatelstwa,
>
> Emigracyjne wizy.

i któremu pozostał wierny. Po dziś dzień robi też na mnie wrazenie jego liryczne zaproszenie:

> Ktokolwiek jesteś bez ojczyzny
>
> Wstap tu, gdzie czekam po kryjomu:
>
> W ugornej pustce jałowizny
>
> Będziemy razem nie mieć domu.

A przecież kiedy żył, twórczość jego znałem zaledwie powierzchownie, będąc w wieku, kiedy zbyt wiele nowości, bez porządku i wartościowania, przyjmowana jest przez jaźń. Byl to „wiek górny, wiek durny”, krępowany kapliczkowymi lojalnościami.

Wierzyński znany był z serdeczności, jaką otaczał młodych poetów. Będę go pamiętał za to, że był „najpierw człowiekiem, potem artystą”, jak głosi motto jego poetyckiego debiutu. Na krótko przed swoją śmiercią sprawił mi wielką przyjemność i honor. Otóż po przeniesieniu się na uniwersytet w Nottinham, w Londynie bywałem rzadziej. Przyjechawszy raz wśród zimy mocno przeziębiony odwiedzilem, jak to było moim zwyczajem, drukarnię Oficyny Poetów i Malarzy mieszczącą się pod przęsłem mostu kolejowego na Tamizie, nieopodal dworca. Nie spodziewałem się, że czeka na mnie niespodzianka. Czesław i Krystyna Bednarczykowie, właściciele Oficyny zaprosili mnie na kolację do restauracji mieszczącej się pod salą koncertową Festival Hall. Tam ku mojemu zdumieniu i wielkiej radości zjawili się Halina i Kazimierz Wierzyńscy. Poeta oświadczył, że miał wprawdzie inne plany na wieczór, ale przecież nie chciał stracić okazji by mnie wreszcie poznać osobiście. Od czasu do czasu wymienialiśmy między sobą listy. Tłumaczył, że w jego wieku nie mogl sobie pozwolić na zaprzepaszczenie takiej szansy.

Ta szlachetna wielkoduszność w stosunku do młodszych kolegów

po piórze, jakże odbiegała od przysłowiowej zawiści pisarzy. Zmiarkowawszy ponadto szybko, że ledwo mogłem mówić, tak się moją chorobą przejął, że nakazał pozostać w Londynie i udać się do jego lekarza gwarantującego murowany efekt kuracji. Po dziś dzień odczuwam wzruszenie na myśl o szczodrej trosce mistrza Kazimierza, któremu niedługo potem, nawet zaufany lekarz nie mógł pomóc.